

Wstęp do poetyki

I

Rymy lęgną się w słuchu, ale moje słowo
jest światłoczułe i staje się cichsze,
kiedy słońce nie świeci.

W zimie - ledwie je słyszę.

Pisany w grudniu wiersz jak ul. zamiera
nie dźwięcząc głoskami rojnie.

Rytm spada z wysoka,
prędszy, kiedy gorąco.

Rytmem atakuję, rymem się bronię.

Z dna oka

patrzę krzycząco:

"Dajcie mi słońce Grecji,

a odmłodzę Homera!"

i bohatersko ryzykuję śmieszność.

Żądając "więcej światła!", już, przedterminowo...

II

Dopiero wstawszy dzień zaczyna mierzchnąć
i widać tylko stare rymy-mruki.

Za wyciągnięciem szukającej ręki
z zapalką - patrzę - ono wyżej świeci:

niebo podlata w górę jak podbite głową,
rozproszone na chmurki -
i ściemniło się całkowicie znowu,
spadło
od zachodu do wschodu -
patrzę, kiedy się wzniesie i znów pojaśnieje
słowo objaśnione przez światło,
światło wmówione w słowo.

Jakbym swoje dzieje
śledził w przemianach muszki drozofili,
jakby na pokoleniach ktoś ze mnie wybierał
tę eschę światłonośną, kiedy wejść
w wodór,
w liczbę, masę najpierwszą, porządkową:
jeden...

III

Z mojego słowa jak z fotokomórki
może odczytasz młode światło w chwili,
gdym jego natężenie przemieniał na dźwięki.

Astrofizycy twierdzą, że biegnąc z dalekich
gwiazd, światło się starzeje.

Julian Przyboś